

[horyzont dzieła]

Piotr Millati: Mamy *Mesjasza*!

Żadne marzenie, choćby nie wiedzieć jak absurdalne i niedorzeczne, nie marnuje się w wszechświecie.

Bruno Schulz *Republika marzeń*

1.

Mamy *Mesjasza*!

Po tylu latach daremnych poszukiwań, pogoni sensacyjnymi tropami, które zawsze się urywały, budowania na temat losów tej książki karkołomnych hipotez i wątpliwych domniemań, wirowania w kołowrocie rozbudzanych nadziei i zaraz gaszących je rozczarowań – *Mesjasz* wreszcie się odnalazł.

Wydawało się, że sprawa jest beznadziejna, że szukano już wszędzie, gdzie to możliwe. A więc *Mesjasz* ostatecznie zaginął, dzieląc los tak wielu listów i obrazów Schulza, które z jakąś szczególną bezwzględnością unicestwiało ciężące nad nim fatum.

Ostatnim akordem tego narastającego pesymizmu i małopostkowego braku wiary były coraz częściej i śmielej powtarzające się głosy, że nigdy nie znajdziemy *Mesjasza*, ponieważ go nigdy nie było – Schulz po prostu go nie napisał.

Tymczasem wszystko, czego było trzeba, to ufnie i z wiarą poczekać na jego przyjście.

Czuję, teraz już całkiem wyraźnie, narastające zniecierpliwienie i niedowierzanie u czytających te słowa. Proszę o jeszcze jedną chwilę. Zaraz się wszystko wyjaśni. Ale póki co, pozwolę sobie tutaj na niewielki suspens. Koncept, na jakim opiera się cały mój tekst, jest jego głównym atutem, więc jest zrozumiałe, że staram się jeszcze opóźnić chwilę, gdy będę zmuszony odsłonić jedyną kartę, którą mam w dłoni.

„Rękopisy nie płoną” – zapewnia nas Woland w *Mistrzu i Małgorzacie*. Szczególnie takie rękopisy jak *Mesjasz*, dla którego fakt, że nigdy go nie było, albo że istniał tylko we fragmentach, nie ma żadnego znaczenia. *Mesjasz* zawsze był obecny w naszej zainfekowanej jego legendą wyobraźni jako *opus magnum* Schulza – dzieło, które przewyższało to wszystko, co wcześniej stworzył. Kiedy Jerzy Jarzębski w jednym ze swoich licznych tekstów o Schulzu pisał: „*Mesjasz*, którego nie ma, także należy do kanonu”¹, to tylko potwierdzał to powszechne przekonanie.

Puste miejsce po wielkiej, choć nienapisanej książce nie może jednak wiecznie pozostać pustym. Żarliwe pragnienie, aby wreszcie zaistniało coś, co nie znalazło się w ogromnym rejestrze bytów tworzących nasz świat (choćby powinno), prędzej czy później zrobi swoje. Taka samotrawiąca się próżnia, która ziele w miejscu bolesnej nieobecności, jest niczym kosmiczna czarna dziura. Zasysa do swego wnętrza energię, a jej kumulacja, kiedy osiągnie punkt krytyczny, musi w końcu doprowadzić do Big Bangu.

I tak się właśnie stało. Wszyscy usłyszeliśmy tę eksplozję, ale niemal nikt nie zrozumiał, co naprawdę ona znaczyła. Mamy więc *Mesjasza*, choć nie zdajemy sobie z tego sprawy.

Być może stoi na jednej z półek w naszym domu niegdyś nabyty z cichym entuzjazmem albo podarowany nam z okazji świąt czy urodzin. Zrobić komuś z niego prezent należało parę lat temu do dobrego tonu (zjawisko to wyjaśnia fakt stosunkowo niezłej sprzedaży tego rodzaju książek).

Jego nadzwyczajna objętość onieśmiela umysł i paraliżuje wolę przeciętnego posiadacza. W pierwszej chwili wydaje się, że przeczytać go od deski do deski to przedsięwzięcie w rodzaju podróży kajakiem przez Pacyfik albo samotnego wejścia w trampkach na któryś z ośmiotysięczników.

Z tego powodu z reguły pozostaje nieprzeczytany i pokrywa się kurzem. Cierpliwie czeka na swój czas, ale gdy ma już on nadejść, wypada z kolejki, wypchnięty przez krótsze i mniej wymagające książki. Spełnienie obietnicy jego lektury co roku odkładane jest na kolejny urlop, na kolejne wakacje, kolejny długi weekend.

Jak wygląda *Mesjasz*? Słowo, które pierwsze przychodzi na myśl, by go opisać, to *k s i ę g a*. Oto trzymamy w ręku *g r u b y i c i ę ż k i f o l i a n t*, niepodobny do zwykłych, „cywilnych” książek. Swoimi paginatorami, schodkowo biegnącymi przez całą objętość znajdującego się między okładkami boku, przypomina stary mszał.

Kiedy go otworzyć w dowolnym miejscu, zapewne ukaże się naszym oczom jedna z wielu map czy rycin z odległych epok. Cyfry oznaczające strony biegną

1 J. Jarzębski, *Miasta, rzeczy, przestrzenie*, Gdańsk 2019, s. 234.

na wspan – od końca do początku. Dlatego kartkując go, mamy poczucie, jakbyśmy nagle stanęli na głowie, co wywołuje jej krótkotrwały zawrót.

Tak. Już się domyślamy, co to za książka. Nie trzeba więc dodawać, że okładkę wypełnia tasiemcowaty, rozłożony na wersy niczym wiersz, barokowy tytuł: *Księgi Jakubowe albo wielka podróż przez siedem granic, pięć języków i trzy duże religie...*

2.

Nie będę ukrywać skali swego zachwytu dla tej niezwyklej powieści Olgi Tokarczuk, choć ci, którzy go nie podzielają, zapewne będą zażenowani pretensjonalnością tego rodzaju uzewnętrznień. W niezliczonych tekstach o literaturze pisanych każdego roku przez równie niezliczonych filologów niemal nie ma miejsca na podobne wyznania. Tak jakbyśmy zapomnieli, że *philologia* to etymologicznie „miłość słowa” (no dobrze, może nie do końca miłość, ale jednak umiłowanie), a najważniejszym powodem, dla którego czytamy książki i chcemy o nich pisać, jest czysta i bezinteresowna przyjemność obcowania z nimi.

Tymczasem gdy sięga się po przeciętny tekst należący do tego gatunku, odnosi się wrażenie, że zrodziła go nie czytelnicza namiętność, ale to, co kiedyś zwykło się określać „należnym obowiązkiem małżeńskim”.

Wiem, że nie jest to do końca prawda, że ta powściągliwość, ten wstyd uczuć (zarówno dobrych, jak i złych) bardziej niż z ich braku wynikają z dyktatu obowiązującej konwencji. Czasem jednak warto ją zignorować, pozwolić sobie nawet na bezwstydną banał, aby dać w ten sposób widzialny znak, że ostatecznie wszystkim nam nadal chodzi o to samo.

I robię to właśnie teraz, pisząc to zdanie składające się wyłącznie z wyświechtanych zwrotów (podobnie jak cały język naszych uczuć):

Od pierwszych stron *Ksiąg Jakubowych* nie miałem wątpliwości, że czytam książkę będącą jednym z najwybitniejszych osiągnięć literatury współczesnej, książkę będącą zdumiewającym arcydziełem intelektu i wyobraźni, brawurowym popisem pisarskiego rzemiosła, imponującym świadectwem ogromnej wiedzy i błyskotliwej erudycji.

Jednym z wielu powodów, dla których chcę widzieć w *Księgach Jakubowych* szczęśliwie spełnione i pełnoprawne zastępstwo Schulzowskiego *Mesjasza*, jest właśnie ich artystyczna wielkość.

Wielkie i puste łóżysko po nienarodzonym *Mesjaszu* mogła wypełnić książka tylko wielka jak on. Na szczęście nie muszę tu uzasadniać wielkości *Ksiąg Jakubowych*. Zrobił to za mnie Komitet Noblowski oraz dziesiątki tekstów, jakie dotąd napisano o tej wydanej już sześć lat temu powieści. Zirytowanych moją gołosłownością odsyłam do nich.

3.

Czy Olga Tokarczuk jest jedną z nas, to znaczy – czy należy do rozsianego po całym świecie nieformalnego stowarzyszenia fanatycznie żarliwych czcicieli prozy Schulza? W jego szeregach znaleźli się choćby Bohumil Hrabal, który co roku zasiadał do ponownego czytania wszystkich jego opowiadań, czy Danilo Kiš, zafascynowany Schulzem do tego stopnia, że jego powieść *Ogród. Popiół* można by w zasadzie uznać za wiernopoddańczą wariację na temat Schulzowskiego świata.

Jestem przekonany, że tak, choć opieram to przekonanie bardziej na mocnych poszlakach niż niezbitych dowodach.

„Świat nie jest [...] taki, jaki się wydaje. Jest go o wiele więcej – ukrytego, schowanego, niejasnego [...]”² – pisze Olga Tokarczuk w jednym z esejów z tomu *Czuły narrator*. Można te dwa zdania uznać z filozoficzne credo zarówno jej, jak i Schulza.

W *Czułym narratorze*, będącym przede wszystkim pochwałą literatury, Tokarczuk mówi o Schulzu kilkakrotnie. Jest on dla niej pisarzem szczególnym, ale nie aż tak wyróżnianym jak choćby darzony „miłością głęboką i bezgraniczną” Edgar Allan Poe czy Zygmunt Freud, który przywrócił jej wiarę w wartość tajemnicy, a więc tego wszystkiego, co wymyka się próbie racjonalnego wyjaśnienia³. Znamienne, że temu ostatniemu poświęciła zdecydowanie najwięcej miejsca w tekście dotyczącym jej literackich inspiracji, na który się tutaj powołuję.

Schulz miał się pojawić w jej życiu „za sprawą pierwszego chłopaka” i wywołać wraz z pisarstwem Faulknera „cichą lekturową rewolucję”. To dzięki nim zetknęła się z innym niż dotychczas rodzajem czytania. Cechowało je „cierpliwe zagłębianie się w wielopiętrową, skomplikowaną, pełną znaczeń strukturę świata [...] nieustanne schodzenie w dół albo może podążanie w górę po krętych schodach niejednoznacznych obrazów”.

Schulz w innej jeszcze konstelacji – tym razem z Singerem – wywołując „literacki zachwyty”, uzmysłowił jej istnienie nieprzebranego bogactwa kultury polskich Żydów, niemal wygumkowanej z peerelowskiej rzeczywistości, oraz fakt trwającego przez kilka stuleci splotu ich losów z historią Polski.

Kilka stron dalej Tokarczuk wymienia Schulza jednym tchem z pisarzami reprezentującymi szczególnie jej bliski fenomen Europy Środkowej – Kafką, Meyrinkiem, Kubinem, Toporem. Ich książki odegrały wielką rolę w jej literackiej edukacji, gdyż „miały odwagę opisywać dziwność świata”.

2 O. Tokarczuk, *Czuły narrator*, Warszawa 2020, e-book.

3 Ibidem.

Głębokich powinowactw między Brunonem Schulzem i Olgą Tokarczuk, jeśli zestawić ze sobą ich literackie światy, można odnaleźć zaskakująco wiele. Najważniejsze z nich trafnie uchwyciła Malwina Wapińska w recenzji *Ksiąg Jakubowych* opublikowanej blisko rok po ukazaniu się książki. Są nimi: „obsesyjnie bliski obojgu motyw księgi, fascynacja gnozą, mistyką żydowską, herezją; realizm magiczny, w końcu – mit jako kategoria fundamentalna dla widzenia i interpretowania świata”⁴. Od siebie bym tutaj jeszcze naprędce dodał wspólne obojgu przekonanie o fundamentalnym znaczeniu podświadomości zarówno w naszym codziennym życiu, jak i dla sztuki, której jest zasadniczym źródłem.

Chcąc nieco ukonkretnić te siłą rzeczy skrótowe wyliczenia, przypomnę tylko, że debiutancka powieść Olgi Tokarczuk to *Podróż ludzi Księgi*, której bohaterowie wyruszają na poszukiwanie mitycznej Księgi, mającej dać im odpowiedzi na wszystkie możliwe pytania. W *Księgach Jakubowych* motyw Księgi rządzi zarówno formalną strukturą (jej poszczególne części to właśnie księgi), jak i symbolicznym wymiarem powieści.

Mityzacja rzeczywistości – metoda twórcza, którą Schulz posługiwał się nieustannie, polegająca na dostrzeganiu w tym, co w naszym życiu jednostkowe i jednorazowe, wciąż powtarzających się od zarania dziejów uniwersalnych schematów – jest jedną z bardziej charakterystycznych cech pisarstwa Olgi Tokarczuk. Chyba najbardziej spektakularnymi tego przykładami są *Prawiek i inne czasy* oraz *Anna Inn w grobowcach świata*.

Jej fascynacja mistyką żydowską i gnozą zrodziła *Księgi Jakubowe*. Te same inspiracje, według pamiętnych ustaleń Władysława Panasa (a w szczególności księga Zohar oraz kabała luriańska), leżą u podstaw *Księgi*, *Genialnej epoki* oraz *Wiosny* Schulza⁵.

Kiedy Tokarczuk w *Czułym narratorze* pisze: „Czy zastanawialiście się kiedyś nad tym, iż źródłem twórczości literackiej może być to, że coś chce być napisane? Że niejako poza nami istnieją tematy, obrazy, przeczucia, które domagają się od nas nazwania i wyartykułowania? Że podejmując takie tematy, zostajemy przez nie otoczeni specyficzną opieką niczym dzieci, które biorą się do rysowania?”, to natychmiast staje mi przed oczami scena z *Genialnej epoki*, w której Józef pewnego zimowego dnia przemienia się w medium jakiejś nieziemskiej siły i w akcie twórczego szału kolorowymi kredkami przelewa na papier niezliczoną ilość zamieszkujących go obrazów, które domagały się zaistnienia.

Gdy zaś czytam kawałek dalej: „Jak to się dzieje, że skądś wyłażą te dziwne formy bytu na początku pozbawione ciała, ale wyposażone w całą psychologiczną

4 M. Wapińska, *Sacrum i profanum historii, czyli „Księgi Jakubowe” Olgi Tokarczuk*, /<https://kultura.gazetaprawna.pl/artykuly/841449,sacrum-i-profanum-historii-czyli-ksiegi-jakubowe-olgi-tokarczuk.html> (dostęp: 27.11.2020).

5 W. Panas, *Księga blasku. Traktat o kabale w prozie Brunona Schulza*, Lublin 1997.

aparaturę pełniej niż niektórzy żywi i cielesni? Jak to się dzieje, że materializują się na naszych oczach, chwytając się zdań i słów, nabierając konkretnych cech i w końcu zaczynają mówić, mieć poglądy, uczucia, myśli, całe zwinięte w sobie czasy i kosmosy? Czy istnieje gdzieś rezerwuar tych bytów, których egzystencjalna natura jest niepodobna do ludzkiej. I gdzie się on mieści?”⁶, to niczym echo odzywają się w głowie zdania z XVII rozdziału *Wiosny*, w którym zstępujemy z narratorem „do Matek”, czyli do matecznika wszystkich historii:

„Ile zdarzeń, ile dziejów, ile losów! Wszystko, cośmy kiedykolwiek czytali, wszystkie zasłyszane historie i wszystkie te, które nam mającą od dzieciństwa – nigdy nie zasłyszane – tu, nie gdzie indziej jest ich dom i ojczyzna. Skądże by pisarze brali swe koncepcje, skądże by czerpali odwagę do wymyślania, gdyby nie czuli za sobą tych rezerw [...], którymi wibrują Podziemia. Co za płatanina szeptów, co za mruczący gwar ziemi! O ucho twoje pulsuje niewyczerpana per-swazja. Idziesz z przymkniętymi oczyma w tym ciepłe szeptów, uśmiechów i propozycji, nagabywany bez końca, nakłuwany tysiącrotnie pytaniami, jak milionami ssawek komarzych. Chciałyby, byś coś wziął od nich, cokolwiek, szczyptę tych bezcielesnych, szepczących dziejów i przyjął to w swe młode życie, w krew swoją i ocalił i żył z tym dalej”⁷.

O wszystkich tych podobieństwach i paralelach nie wspominam jednak po to, by sugerować, że Olga Tokarczuk, jak wielu innych, uległa zaraźliwemu wpływowi prozy Schulza, robiąc z tego wątpliwy, bo naśladowczy użytek. Nie bawiłoby jej coś podobnego, jak zresztą żadnego prawdziwego artysty.

Pragnę tylko przekonać siebie (i was przy okazji także) o duchowej bliskości ich obojga, o powinowactwie myśli, pokrewieństwie wyobraźni wystarczająco silnej, by, za sprawą autorki *Ksiąg Jakubowych*, mógł przyjść na świat nieurzęczywistniony Schulzowski *Mesjasz*.

4.

W *Księgach Jakubowych*, podobnie jak w opowiadaniach Brunona Schulza, toczy się odwieczna wojna między *status quo* zastygłym w skostniałych formach a bezmiarem nowych urzęczywistnień, jakie świat mógłby przybrać, gdyby nic nie krępowało jego twórczych mocy.

W obu przypadkach kluczową w niej rolę odgrywa figura mesjasza.

Postać ta stanowi główny temat panoramicznych i wielowątkowych *Ksiąg Jakubowych*. Opowiadają one historię życia Jakuba Franka – żydowskiego mistyka i herezjarchy zaciekle zwalczanego przez ortodoksyjny judaizm, syna prostego

6 O. Tokarczuk, op.cit.

7 B. Schulz, *Wiosna*, w: idem, *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, oprac. J. Jarzębski, Wrocław 1989, s. 160–161.

kupca, założyciela sekty religijnej, który ogłosił się mesjaszem i w 1759 roku przyjął katolicki chrzest wraz z częścią swych wyznawców.

Frank, podając się za ziemskie wcielenie Boga, obiecał im nieśmiertelność jeszcze tu na ziemi oraz rychłe nadejście czasów mesjańskich, w których nastąpi cudowna odnowa naznaczonego złem, zepsutego, chylącego się ku upadkowi świata.

Jednak w przeciwieństwie do innego dobrze znanego nam pretendenta do boskości – Jezuy z Nazaretu – wywodzący się ze społecznych nizin Frank zmarł śmiercią naturalną w wieku sześćdziesięciu pięciu lat jako zamożny, choć zadłużony baron. Umarł w swym łóżku na skutek pospolitego udaru mózgu, w jednym z niemieckich zamków, gdzie rezydował wraz ze swym dworem. Tysiące jego wyznawców mogło jeszcze na długo przed jego odejściem przekonać się o fałszywości głoszonych przez niego prorocत्व, a fakt śmierci, do tego tak banalnej, ostatecznie kompromitował jego mesjańską uzurpację.

Lecz Jakub Frank Olgi Tokarczuk nie jest tylko cynicznym oszustem, który potrafił zahipnotyzować charyzmatyczną osobowością zarówno możnych tego świata (byli wśród nich polski król August III Sas czy cesarzowa Austrii Maria Teresa), jak i masy żydowskiej biedoty z Podola, które widziały w nim jedyną nadzieję na odmianę marnego losu. Jest także niespokojnym duchem poszukującym w kabalistycznych księgach najwyższej wiedzy, natchnionym mistykiem doświadczającym obecności żywego Boga podczas przerażających teofanicznych transów, które przydarzały mu się w młodości. Miał więc prawo uwierzyć w swe powołanie, a pod koniec życia uznać, że sam został oszukany i wystawiony na pośmiewisko przez jakieś kapryśne, złośliwe i nieobliczalne bóstwo.

Księgi Jakubowe są więc fascynującą opowieścią o tym, jak rodzi się i umiera religia, jak charyzmatyczna jednostka pod wpływem fanatycznej wiary swego otoczenia oraz wzniesionej tą wiarą autoafirmacji zaczyna sama wierzyć, że jest Bogiem, i do pewnego stopnia się nim na jakiś czas staje, jest historią o nieustannie odradzającej się i nigdy niespełnionej ludzkiej nadziei na przyjście kogoś, kto wreszcie usunie z naszego świata zło, śmierć i cierpienie.

Dowiadujemy się z niej, że istotą heretyckiej rebelii frankistów była niezgoda na formalistyczny, a więc martwy model religijności, narzucony przez rabiniczny judaizm. Relacje człowieka z Bogiem zostały w nim sprowadzone do skrupulatnego przestrzegania wielkiej liczby nakazów zawartych w Torze i komentującym ją Talmudzie. Nie ma już miejsca na żadne nadprzyrodzone zdarzenia, które były chlebem powszednim biblijnych bohaterów. Czas cudów się skończył. Pobożny Żyd ma wypełniać prawa Tory i Talmudu i biernie czekać na przyjście Mesjasza.

Frankowi to nie wystarczyło – chciał doświadczać obecności Boga tu i teraz. Dokonywało się to choćby poprzez uczestnictwo jego sekty w mistycznych rytuałach, które sam wymyślał. Szokowały one nie tylko ortodoksyjnych Żydów. Szczególnie te z nich, w których ostentacyjnie łamano wszelkie możliwe seksualne tabu.

Talmud, który rozstrzyga na przykład kwestię jedzenia i niejedzenia jajka zniesionego przez kurę w dniu świątecznym⁸, był dla frankistów księgą kłamstw, fałszywie sakralizującą martwy już porządek świata. Należało go więc w całości odrzucić. Jego drobiazgowo nakazy, które miały regulować w najmniejszych szczegółach życie każdego Żyda, utraciły jakiegokolwiek znaczenie w czasach mesjańskich, które właśnie nadeszły. Bóg dał je Mojżeszowi, by ratowały przed upadkiem człowieka żyjącego w świecie skażonym grzechem pierworodnym, ale już nie odnowionym przez Mesjasza. Talmud jest więc bluźnierstwem rzuconym w twarz Stwórcy, którego nieobliczalnej natury nie można ująć w żadne prawa.

Świątą księgą frankistów stają się Księga Blasku (*Sefer ha-Zohar*) – najważniejsze dzieło żydowskiej mistyki i kabały, podważające absolutny charakter *Prawa*, zawierające ezoteryczną wiedzę o Bogu, jego stworzeniu, pochodzeniu zła i emanacji Bożego światła. W oczach frankistów Zohar była antytezą Talmudu. Ich doktryna zawdzięcza jej bardzo wiele.

Przywołuję te sprawy może z nadmierną szczegółowością, ale dzięki temu łańcuchem będzie dostrzec przynależność Mesjasza, który pojawia się w trzech pierwszych opowiadaniach z *Sanatorium pod Klepsydrą* (a więc w *Genialnej epoce*, *Księdze* i *Wiosnie*), do tradycji żydowskiego mistycyzmu. Warto wspomnieć, że teksty te są uważane za rozparcelowane fragmenty nienapisanej/zaginionej powieści Schulza. Tak pewnie było, skoro na postać Mesjasza natykamy się w nich kilkakrotnie, a czytane jeden po drugim odsłaniają swą kompozycyjną i tematyczną ciągłość.

W każdym z tych opowiadań oglądamy świat w stanie najwyższego napięcia, sięgającego zenitu przesilenia, niecierpliwego wyczekiwania na jakąś mającą wkrótce nastąpić szczęśliwą przemianę. Wydaje się, że byt po zrzuceniu starej i zużytej skóry wreszcie wyłoni się w swej prawdziwej, a więc nieporównanie wspanialszej niż obecna postaci. Ma to się stać za sprawą wypatrywanego przez wszystkich przybysza. Józef jest tu kimś w rodzaju zapowiadającego go proroka, który z gorliwością prozelity odczytuje z płomienną ekscytacją wszechobecne na niebie i ziemi znaki zapowiadające jego bliskie nadejście. Jednak Mesjasz się nie pojawia i wówczas Józef zaczyna wierzyć, że tym, kto ma odrodzić zmartwiały byt, jest on sam.

Natykamy się tu na gnostyckie w swej proveniencji przekonanie, że świat to tak naprawdę ponure więzienie stworzone przez gorszego boga – demiurga, gdzie „wszystko jest zamknięte na głucho, zamurowane nad swoim sensem”⁹. A także inne jeszcze, dużo starsze mityczne wierzenie o postępującej wraz z upływem czasu degradacji świata. Im bardziej oddala się on od dnia stworzenia, od swej wiosny, „genialnej epoki”, tym bardziej staje się ułomny i wadliwy.

8 E. Levinas, *Cztery lektury talmudyczne*, przeł. E. Burska, Kraków 1995, s. 6.

9 B. Schulz, *Genialna epoka*, w: idem, *Opowiadania. Wybór esejów i listów*, s. 131.

Jak wiadomo, w *Wiosnie* demiurgiem, który zamknął świat w klatce bezdusznych reguł, jest pedantyczny, pozbawiony polotu i wyobraźni cesarz Franciszek Józef I. Jest on zimnym kodyfikatorem prozy codziennego, życia, w którym najwyższą cnotą jest przestrzeganie ustalonego raz na zawsze porządku.

W roli jego antagonisty, zbuntowanego herezjarchy, a faktycznie mesjasza pragnącego wyzwolić istnienie z niewoli ograniczających je kodeksów i regulaminów, został tu obsadzony jego młodszy brat – arcyksiążę Maksymilian. Istotą jego mesjańskiego przesłania jest prawda objawiona Józefowi, narratorowi, podczas występu prestidigitatora, którego był świadkiem: „Bóg jest nieprzeliczony”¹⁰. Nieprzeliczony, czyli nieskończony, a to pojęcie jako *Ein Sof* należy do podstawowych formuł kabały i określa prymarną właściwość Boga, jaką jest bezmiar jego atrybutów i możliwości. Tego bezmiaru nie da się więc zamknąć w żadnej definicji, w żadnym pojęciu.

Dlatego gdy Schulzowski Mesjasz schodzi na ziemię, zastygły w swych kształtach świat trzęsie się w posadach. Dobrze to obrazuje choćby ten fragment *Wiosny*: „Wtedy to miało miejsce to objawienie, ta nagle ukazana wizja rozpłomienionej piękności świata, wtedy to przyszła ta wieść szczęśliwa, posłanie tajemne, ta misja specjalna o nieobjętych możliwościach bytu. Otworzyły się na oścież horyzonty jaskrawe, srogie i zapierające oddech, świat drżał i migotał w swych przegubach, przechylał się niebezpiecznie, grożąc wyłamaniem się z wszystkich miar i reguł”¹¹.

Finał tych usiłowań jest nam znany – Maksymilian na skutek intrygi Franciszka Józefa ginie w dalekim Meksyku.

Józef (narrator tej opowieści) odczytał tę mesjańsko-kryminalną historię z Autentyku, czyli klasera pożyczonego od szkolnego kolegi. Traktuje go w taki sam sposób jak kabaliści swe święte księgi – jako źródło ukrytej przed oczyma profanów wiedzy o największych tajemnicach świata, do odczytania której trzeba się posłużyć specjalnym kluczem. Wszechobecny w tych trzech opowiadaniach motyw światła pozwala nam na utożsamienie markownika ze wspomnianą już *Księgą Blasku*, w której światło jest synonimem Najwyższego.

Kabalistyczna w swej dowolności egzegeza markownika podpowiada Józefowi, że teraz on ma kontynuować misję Maksymiliana. Jednak szybko się okazuje, że są to tylko naiwne złudzenia. Zdradzony przez najbliższego przyjaciela podobnie jak Maksymilian ponosi klęskę. Wszystko zostaje więc takie, jak było. Świat, który już gotował się do wzlotu, do swej cudownej metamorfozy, został wstrzymany w twórczym rozwoju i teraz powraca w dawno wyrobione koleiny.

10 Idem, *Wiosna*, s. 148.

11 Ibidem, s. 143.

Nie mogło stać się inaczej. W literackim uniwersum Brunona Schulza z reguły nic do końca się nie urzeczywistnia. To jedna z żelaznych reguł nim rządzących. Zaginiony/nienapisany *Mesjasz* z pewnością kończyłby się tak samo.

5.

Czy zaginiony/nienapisany *Mesjasz* miał być w zamierzeniu Schulza owym mitycznym Autentykiem (czyli księgą wszystkich ksiąg), o jakim mowa jest w trzech pierwszych opowiadaniach *Sanatorium pod Klepsydrą*? Dlaczego nie uznać, że pisarz tak właśnie myślał o powieści mającej się stać jego największym dokonaniem?

Jedną z najbardziej zagadkowych cech Autentyku jest jego proteuszowa natura. Jeśli więc mógł on stać się arkuszem kolorowych kalkomanii, kartkami reklam wyrwanymi z jakiegoś magazynu, klaserem ze znaczkami czy wreszcie regularną książką, a więc właściwie dowolnym przedmiotem, to czemu nie mógłby się wcielić także w *Księgi Jakubowe*?

Tym bardziej że książka ta mogłaby, a nawet powinna, nosić inny tytuł niż ten oficjalny. Jest nim oczywiście *Mesjasz*. Nie tylko z powodu podającego się za mesjasza jej protagonisty.

Od chwili, gdy natknąłem się na poniższy kryptocytat, który Olga Tokarczuk rozmyślnie utopiła w głębokim i rozległym nurcie swej powieści, zrozumiałem, że prowadzi ona wyrafinowaną i zarazem przewrotną grę z Schulzowskim *Mesjaszem*:

„Wstawaj, Mesjasz przyszedł. Jest już w Samborze”¹².

Jest to, jak wiemy, pierwsze zdanie z zaginionej/nienapisanej książki Schulza. Ocalało, gdyż zapamiętał je Artur Sandauer, kiedy Schulz czytał mu w Drohobyczu fragmenty *Mesjasza*.

To z powodu jego obecności, która nie pozwala ani na chwilę o sobie zapomnieć podczas długiej lektury powieści niczym wbita pod paznokieć drzazga, chciałbym czytać *Księgi Jakubowe* jak wielką głosę dopisaną do tego jednego zdania, rozpoznać w niej dokonujące się za sprawą literatury *tikkun*.

Ale do tego jest potrzebna dziecięca wiara, której od dawna nie posiadam.

